

Joanna Mińska

„Umarłych wieczność dotąd trwa
Dokąd pamięcią im się płaci”
(W. Szymborska)

Piątego listopada pozostawiła w żalobie grono pracowników Instytutu Zachodniego w Poznaniu Joanna Mińska. Choć nie miała jeszcze 50 lat, wszystkim wydawało się, że musi być wieczna. Była bowiem od zawsze i o każdej porze. Nie każdy pamiętał jej nazwisko, bo przecież to nasza Joasia, pani Joasia. Nie zasiadała w żadnych ważnych gremiach. Według oficjalnej nomenklatury była sekretarką, której osobowość nie mieściła się jednak w żadnym kanonie. Jej sposób bycia i sprawowania urzędu nie odpowiadał ani klasycznej formule, ani wizerunkowi nowoczesnej urzędniczki, w kostiumowym mundurku, na wysokich obcasach, a zakres wykonywanych czynności wykraczał poza jakikolwiek państwowy regulamin oraz instytutowy zakres obowiązków. Funkcji, którą pełniła, nadała bowiem szczególny sens i bardzo ludzki wymiar.

Dawno zatarała się granica między Jej światem a światem instytutu. Oba zazebiały się. Instytut dawał Jej poczucie wartości, a Ona wносиła w biurokratyzowane życie instytucji ciepło i życiwe zatroskanie o wszystkich, niezależnie od funkcji i stopnia naukowego. To jej zasługa, że instytut stał się czymś więcej niż tylko miejscem pracy - był miejscem spotkań ludzi. Stworzyła tu bowiem namiastkę domu. W swej krzątaninie wokół „domowników” ogarniała wszystko. Tak jak w rodzinie musiała być ciągłość pokoleń, tradycji, rytuałów. Na jej głowie było zarówno ozdabianie choinki, jak i gotowanie bigosu na grzybobranie. Na szczególną okazję był tort Sachera, na niepogodę domowy smalec ze skwarkami. Każdą gość instytutu znalazł pod jej okiem życiowy przystanek. Czula się dobrze, gdy dom był pełen gwaru. Trochę czuła się, aby instytutowa rodzina żyła zgodnie, a ci którzy ją opuścili, odchodząc na emeryturę, wracali z okazji szczególnych. Z myślą o nich przygotowywała paczki świąteczne, pamiętała, by nie zabrakło nikogo przy wigilijnym oplatku.

Była intendentem, impresario i zaopatrzeniowcem w jednej osobie, gdy zapobiegliwie oszczędzała dodatkowo zarobione przez instytut pieniądze na uzupełnienie „rodzinnej” zastawy. Gdy trzeba, była dobrą wróżką, dla strapiionych konfesjonalem. Rozpieszczała, wyręczała w setkach drobniaków, strofowała. Dzieliła nasze radości i smutki. W swej krzątaninie wokół ludzi i spraw czuła się odpowiedzialna za rzeczy wielkie i małe.

Kiedy rok temu przeżyła pierwszy zawał, nie pogodziła się ani na chwilę z chorobą. Z irytacją przyjmowała wszystko, co odwiekało moment powrotu do dyrygentckiego pulpitu w sekretariacie Instytutu Zachodniego. Wiele czytała. Czy marzyła o podróżach? Żyła wyprawami innych, wsłuchiwała się w relacje z dalekich eska-



pad, na które nie było ją stać. Ich namiastką była obecność na corocznych Złotach Polskich Przyjaciół Indian. Zbierała literaturę na temat kultury indiańskich plemion. W pasji tej wyrażał się Jej idealizm, być może tęsknota za przejrzystym światem, mitem indiańskiej szlachetności i klarownym kodeksem zachowań, w którym istniała sprawiedliwość i wyraźny rozdział między dobrem i złem.

Czy poznała do końca smak życia? Jak przeżyła swój czterdziesty rok? Jej odejście wyznacza pewną cesurę w Instytucie Zachodnim. Ktokolwiek zasiądzie przy Jej biurku, będzie to już inne miejsce i inna epoka. Żegnałam się z panią Joasią przed każdą podróżą. Tym razem nie zdążyłam. Tylko raz nie pojawiła się bez uprzedzenia w naszym świątym w Instytucie i był to raz ostatni. Udala się w podróż, której kresu nie znamy. Nie podaruję Jej w tym roku na święta kolejnego aniołka, których figurki skrzętnie gromadziła. Flamandzki pisarz i duchowny Phil Bosmans pisał, że „anioł to ktoś, kogo Bóg wysłał w Twoje życie nieoczekiwanie i niezastuzenie po to, aby zapalił ci, gdy zapadną ciemności, kilka gwiazd”. Joasiu, niech długi szpaler aniołów nie opuszcza Cię w tej najdłuższej podróży. I niechaj rozjaśniają Ci drogę wszystkie gwiazdy. Ich blask i ciepło podtrzymują Cię na duchu, tak jak Ty pokrzepiałaś i ogrzewałaś nasze serca przez całe zawodowe życie. ◉